

Monika Kwiek

Sygnatura notacji: **N0590**

Data urodzenia: **13.11.1959 r.**

Data nagrania: **06.06.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Plac Franciszkański, Kraków, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **25 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Monika Kwiek: Nazywam się Monika Kwiek. Urodziłam się w Krakowie w 1959 roku. Moi rodzice, Mama była z Zabierzowa Bocheńskiego, tato urodził się w Krakowie. Mama podczas okupacji była opiekunką pani doktor Heleny Donhaiser – Sikorskiej. To była bratowa generała Sikorskiego, pierwsza zresztą doktor medycyny kobieta, z doktoratem z medycyny. Ojciec mojej mamy z kolei jako ochotnik bił bolszewików w 1920 roku. Kazimiera Kwiek i Eugeniusz Kwiek. Dziadek, ten, który bił bolszewików, potem, po wojnie powtarzał: „Matko Boska, Polska, ratuj nas Polaków, a tych bolszewików powrzucaj do krzaków”. Był inwalidą, w 5 lat po Bitwie Warszawskiej zmarł nagle. To już tyle może o rodzicach. Jestem z tego szczęśliwego rocznika, który rozpoczynał studia i dorosłe życie równo z pontyfikatem Jana Pawła II. Bogu dziękuję za to, że wszystko to mogłam przeżywać jako już dorosły człowiek, rozumiejący, co się dzieje. Od tego pamiętnego dnia, kiedy wróciłam z zajęć wieczorem do domu i mama z drugiego pokoju zaczęła ryczeć, dosłownie ryczeć na cały głos: „Karol Wojtyła papieżem”. Tego nie zapomnę. Także podczas pierwszej pielgrzymki świętego Papieża naszego byłam na pierwszym roku studiów. To była sesja egzaminacyjna. Ja nawet nie wiem, kiedy te egzaminy zdawaliśmy, bo to było zupełnie nieważne. Chodziło się tylko na relacje i na Msze Święte i na inne wydarzenia z Ojcem Świętym. To było jedyne, co się liczyło. I takie trzy momenty może wspomnę z tej pierwszej pielgrzymki. Środa, 6 czerwca. Już zmierzch troszkę zapadał, deszcz padał. Staliśmy na skrzyżowaniu pod Jubilatem, dokładnie w miejscu, gdzie z alei Krasieńskiego skręca się w lewo w Zwierzyniecką, tak na łuku. I czekaliśmy na przyjazd Ojca Świętego. Oczekiwanie się przedłużało. W butach mokro. I wtedy pierwszy raz zauważyłam taką niezwykłą życzliwość wśród ludzi, którzy powinni być zniecierpliwieni, a nie byli. Pamiętam jak jedna pani do drugiej powiedziała, takim miłym głosem: „czy mogłaby pani przesunąć troszkę ten parasol, bo mi woda z niego cieknie prosto do ucha”. A ta odpowiedziała: „a wolalaby pani do oka?”. No i oczywiście wszyscy tak poustawiali parasole, żeby ten najniższy też był

chroniony. I to było takie dość zaskakujące, bo nie zawsze tak było w takich sytuacjach. Czekaliśmy długo. Wreszcie Ojciec Święty nadjechał. Widzieliśmy go tak z daleka już, pojechał na wprost nas, alejami. Dokładnie tak, jak na obrazkach, które szczęśliwcy niektórzy przywozili z Rzymu i dawali znajomym, właśnie w białej sutannie, w czerwonym płaszczu. I z tym uśmiechem, od którego człowiekowi serce topniało. Jechał wolniutko, bo samochód zwalniał przed zakrętem i widzieliśmy go tak bardzo dokładnie, takiego uśmiechniętego. Pozdrowił nas ręką, a nam po prostu serca wyskakiwały zupełnie. Potem widzieliśmy go chwilę z boku i potem już pojechał Zwierzyniecką, a my jak na skrzydłach wracaliśmy do domu. I wtedy pierwszy raz odczułam, myślę, że nie tylko ja, to niezwykle poczucie bezpieczeństwa. Kiedy on był z nami, to mieliśmy takie poczucie bezpieczeństwa, że nic się złego nie może stać, bo Pasterz jest z nami. Inna rzecz, że miasto było wtedy dość bezpieczne. Nie było w ogóle widać żadnych osób pijanych, żadnych tam chuligańskich wybryków, nic takiego. Był spokój. No i miasto udekorowane, i ludzie z zupełnie innym wyrazem twarzy, niekomunistycznym. Po prostu uśmiechnięci, szczęśliwi ludzie. Nie zliczę tych godzin, które przestałam wraz z innymi, gdzieś na trasie przejazdu, czekając trzy czy cztery godziny tylko po to, żeby przez chwilę Ojca Świętego zobaczyć i pozdrowić. To była ta pierwsza scena. Druga to był piątek, 8 czerwca. Wieczorem, już po zapadnięciu zmroku. Deszcz nie padał, księżyc świecił. Spotkanie z Ojcem Świętym na Skałce, z młodzieżą. Ponieważ stałam z tyłu, więc dobrze widziałam cały plac i tę sytuację, o której pewnie każdy, kto tam był, to wspomina. Kiedy już Ojciec Święty się pojawił, to było wzruszające, że nie skorzystał z tronu, który był dla niego przygotowany, tylko usiadł na schodach, zupełnie tak, jakby zasiadł z nami przy ognisku, gdzieś na pogodnym wieczorze na oazie. I w momencie, kiedy ktoś tam rzucił pierwszą wiązankę kwiatów z tyłu, ktoś się przewrócił do przodu i nagle te wiązanki zaczęły z całego tego placu biec, frunąc w powietrzu, właściwie tak jakby o własnych siłach, skakały jak kangury. Wszystko tak promieniście w stronę Ojca Świętego, do Jego stóp. Tego widoku nikt z nas nie zapomni. To było spontaniczne, niezapomniane i tak piękne, że zapomnieć się nie da. Ale też wśród tych wspomnień, które tam były, wśród tych przekomarzań, żartów, śpiewów, padły te takie bardzo ważne słowa Ojca Świętego, które zapamiętaliśmy. Myślę, że nie tylko ja, że do nas młodych, należy jutrzejszy dzień, że to my mamy przenieść ku przyszłości to dziedzictwo, którym jest Polska. I mówił do nas, żebyście się tego trudu nie lękali. Żebyśmy się lękali tylko lekkomyślności i małoduszności. Tak mówił. I zachęcał do uczciwości, do trzeźwości, do wolności ducha. To były niesamowite słowa. Myśmy tego tak bardzo potrzebowali wtedy i on dokładnie to mówił, czego nam było potrzeba, żebyśmy byli wierni Matce Bożej, Matce Pięknej Miłości. Potem, pamiętam, wracałam ze Skalki tą czerwcową nocą. Tak sobie myślałam, usiłowałam ogarnąć myślami i sercem, w jakich wielkich wydarzeniach my uczestniczymy, jesteśmy świadkami i uczestnikami i jakie z tego dla nas płyną zobowiązania też, że to nie są tylko emocje, to musi być o wiele więcej. To była Skalka. I trzecia taka scena. Niedziela, 10 czerwca, Msza święta papieska na Błoniach. Najpierw w homilii te też niezapomniane słowa Ojca Świętego. Jak mówił: „Weźmijcie Ducha Świętego, Ducha Świętego nie zasmucajcie i musicie być mocni, drodzy bracia i siostry, mocą wiary, mocą nadziei, mocą miłości”. Pamiętam ten głos, jak to mówił. I potem, znowu żebyśmy na nowo przyjęli to dziedzictwo duchowe, któremu na imię Polska. Żebyśmy się nigdy nie zniechęcali. To teraz tak aktualne. Żebyście się nigdy nie zniechęcali, nie znużyli. Nie da się tego zapomnieć. Potem jeszcze jeden moment... Aha, żebyśmy czerpali moc właśnie z Boga, tak jak to czyniły całe pokolenia naszych przodków. Potem jeszcze jeden moment, kiedy nadeszła chwila przeistoczenia, cały tłum padł na kolana. I kiedy się kończyło przeistoczenie, z jakiegoś powodu wstałam dziesięć sekund wcześniej niż inni i to był dla mnie zupełny wstrząs. Bo to, że wokół Błoni wszystkie domy, drzewa były obwieszane ludźmi, oblepione ludźmi, no to wiedziałam wcześniej. Natomiast wtedy, jak wstałam i przez te kilka sekund widziałam całe Błonia, ten milion ludzi czy ponad milion kłęczących w milczeniu, to sobie pomyślałam: „to nie jest tłum,

to jest wspólnota ludzi. Oni wszyscy klęczą i patrzą w to samo miejsce, w Chrystusa na ołtarzu i w Jego namiestnika przy tym ołtarzu. To nie jest tłum, to jest już wspólnota". I myśmy, my, Polacy, wtedy się policzyli, ile nas jest. I zdałam sobie sprawę, jaką jesteśmy siłą, ale tylko wtedy, kiedy jesteśmy nie tłumem, tylko wspólnotą. I to właśnie przy Chrystusie i przy Ojcu Świętym. Tylko wtedy mamy tę siłę. No i owoce było już widać rok później. Także te 9 dni, które przemieniły Polskę, to przemieniły moje życie i ukierunkowało je już na stałe. I Bogu dziękuję, że właśnie miałam wtedy tyle lat, ile miałam, że mogłam to rozumieć, co się dzieje, zapamiętać. No, a teraz jest tylko sprawa tego, co z tym dziedzictwem robimy i tych zobowiązań, które dla nas płyną. Dla nas jako narodu i dla mnie osobiście, zobowiązań, które płyną z tego, z tych wielkich rzeczy, które nam Pan uczynił, dając nam tego wielkiego świętego Papieża, naprawdę wielkiego. Nie zapomnę tego nigdy. We wszystkich Jego, tych Mszach Świętych tutaj uczestniczyłam i Bogu dziękuję za to wszystko. Co Pani tutaj do nas przyjść, a co jest dla mnie?

Artur Kłus: To jest najlepsza odpowiedź z dzisiejszego dnia, za co Pani bardzo dziękuję.

Monika Kwiek: To ja dziękuję, że mogłam. Że mam komu to opowiedzieć.

Artur Kłus: Mam jeszcze takie pytanie, jak Pani... pytam o Papieża, ale też o osobę Karola Wojtyłę, czyli jak Pani pamięta...

Monika Kwiek: Właśnie Go nie bardzo pamiętam. Właściwie nie miałam kontaktu, nie mieszkałam tu nigdzie w pobliżu. Pamiętam tylko jeden moment, jak raz w kapitulniku u Dominikanów duszpasterstwo akademickie, byłam jeszcze w liceum oczywiście, wystawiało jakiś spektakl, jakieś przedstawienie religijne i wszyscy czekaliśmy na kardynała, który się spóźniał. I czekaliśmy, i czekaliśmy. I pamiętam tylko ten moment, kiedy wreszcie on wbiegał na tę salę właśnie z tym uśmiechem swoim, takim. Ale pamiętam też z młodszych lat, kiedy mama mnie prowadziła pod Wawel, kiedy procesja świętego Stanisława szła z Wawelu na Skalkę. Pamiętam, na przedzie szedł kardynał Wyszyński i kardynał Wojtyła. I mama mi mówiła: „patrz i zapamiętaj, to są najwięksi ludzie w Polsce”. Zapamiętałam. Zapamiętałam. Czy pamięta Pani może albo tę atmosferę tej pierwszej pielgrzymki z jednej strony, było coś z niej dalej, po wyjeździe Papieża? Tak, tak. Ja uważam, że tak, jak najbardziej. Nawet po twarzach ludzi było widać, że się bardziej uśmiechają, że przeżywają, wspominają. Kto tam jakie zdjęcie zrobił, no to wywoływał, chwalił się, patrzył, dzielił się z innymi. To była już, zaczęła być inna Polska, inni Polacy. To było przeżycie przeogromne. Ta pierwsza pielgrzymka, właśnie najbardziej się pamięta pierwszą i ostatnią. Pierwszą dlatego, że była pierwsza, wszystko było nowe. I ostatnią, bo już zdawaliśmy sobie sprawę, że to już jest pożegnanie Ojca Świętego z tą ziemską Ojczyzną. Tą zamykającą klamrę, czyli tą ostatnią, jak Pani wspomina? Z taką świadomością, jaki to jest ogromny wysiłek dla Ojca Świętego przy jego stanie zdrowia. Także cały czas to już nie była taka czysta radość jak za pierwszym razem, tylko jednak jakoś odczuwało się ten jego ból, ogromny wysiłek i też tę jego świadomość, że to jest pożegnanie, że już raczej do Polski nie wróci. I coraz bardziej było widać, że jest to człowiek po prostu Święty, że widzimy z bliska człowieka Świętego żywego, prawie na wyciągnięcie ręki. To było niezwykle zupełnie. Takie miejsce Pani wspomina? Oczywiście, że byłam. Jakże mogłabym nie być! Jakże ten Papież ma życie? Po oknach chodzi. Tego się nie zapomni. Tego się nie zapomni. Natomiast teraz bardziej wróciłam do czytania życiorysu Ojca Świętego z lat, kiedy mieszkał jeszcze na Dębnikach. Ja mieszkam na Dębnikach. Chodzę do kościoła, w którym on się modlił, o którym powiedział, że tam wymodlił swoje powołanie. Ksiądz, który już nie żyje, ale z naszej

parafii był, wspominał: „tu się Wojtyła modlił, w tej nawie albo tu przy tej balustradzie klęczał, przed tym obrazem się modlił”. Jest ten obraz u nas w kaplicy i piękna figura Papieża. Także czytam ten zyciorys, odkrywam inne miejsca, w które chodził. Tam, gdzie był Teatr Rapsodyczny, na przykład na ulicy Komorowskiego, na Felicjanek pod dziesiątką, gdzie mieszkał kilka miesięcy po śmierci taty, bo nie był w stanie tutaj sam mieszkać. No i chodzę tymi ulicami i tak po prostu chodzę ze świadomością, że on tędy chodził. Śladami... Dokładnie tak. Ja mieszkam dosłownie trzy minuty drogi od domu na Tynieckiej 10, gdzie on mieszkał. Z domu do kościoła chodził pod moim domem, którego wtedy nie było. Także cały czas te Jego ślady są i mam tego świadomość. I to jest dla mnie ważne, że właśnie tu mieszkam, tak blisko tego miejsca, gdzie się rodziło powołanie Świętego Polskiego Papieża. W chwili ogłoszenia w Polsce stanu wojennego, 13 grudnia 1981 roku, moja mama była już na emeryturze nauczycielskiej. Od kilku lat była wdową. Wolny czas wykorzystywała na wyszywanie gobelinków, które potem ofiarowywała rodzinie i znajomym. I kiedy tuż przed świętami Bożego Narodzenia prezydent Reagan wygłosił przemówienie, w którym tak bardzo wsparł naród polski, mama zdecydowanie oświadczyła: „Ja mu zrobię gobelin z wdzięczności”. I wszyscy krewni i znajomi: „no dobrze, ale jak mu go przekażesz, w stanie wojennym?”. „Jeszcze nie wiem jak, ale przekażę”. I powiedziała to takim tonem, że już wiedzieliśmy, że na pewno to zrobi. Syn sąsiadów zrobił nam szkic tego gobelinu. Pośrodku była Matka Boska Częstochowska, a po obu stronach były godła – Polski i amerykańskie. Polski orzeł wiadomo jaki, ale z amerykańskim był problem, bo godło amerykańskie ma skomplikowany układ kolorów, a w encyklopedii trzynastotomowej był tylko czarno biały. Co tu zrobić? Wymyśliłam, że będziemy z mamą chodzić pod Konsulat amerykański na Stolarską, tam na murze Konsulatu jest duże, kolorowe godło. I zapamiętywać po kawałku te kolory. Stan wojenny, początek. Konsulat obstawiony, obserwowany. A my tam co dzień czy co dwa na zmianę chodziliśmy. „Dobrze, to ja dzisiaj głowę i dziób, to ty jutro skrzydła”. I tak po kawałeczku tego orła amerykańskiego zapamiętywałyśmy kolory. I gobelin powstawał szybko. Mamie nawlekałam mnóstwo igieł, bo też musiałam mieć swój wkład przecież. A w domu na okrągło leciała Wolna Europa, Głos Ameryki i z kasety cały czas Pierwszy Przegląd Piosenki Prawdziwej z pieśnią „Żeby „Polska była Polską”. A mama się cieszyła, że też jest „jak te matki, żony w mrocznych izbach, co wyszywały na sztandarach hasło Honor i Ojczyzna”. Tym bardziej, że pod godłem polskim było hasło wyszyte: „Bóg, Honor i Ojczyzna”, a pod amerykańskim orłem: „In God we trust”. No i pod koniec marca już gobelin był gotowy. Odprasowany, śliczny. I mama wtedy wzięła, miała taki stary już, brzydki płaszcz, czarny, zimowy, taki luźny. Odpruła podszewkę od dołu, wszyła gobelin w plecy płaszcza. Wzięła sobie sąsiadkę dla kurażu jako obstawę i pojechały pociągiem do Warszawy. Tam przenocowały u siostry mamy. Na drugi dzień pomaszzerowała do ambasady amerykańskiej, oświadczając, że ma prezent dla prezydenta Reagana i bardzo prosi o doręczenie go prezydentowi. I wszystko to przyjęto z miłym uśmiechem, ale uśmiech szybko wyparował, jak poprosiła o nożyczki. Bardzo duża podejrzliwość, ochroniarze przyszli. Mama tłumaczyła, że bez nożyczek nie wyjmie prezentu. W końcu z bardzo dużymi oporami dano jej te nożyczki. Ochroniarze patrzyli jak sępy w nią, co ona z tymi nożyczkami zrobi? A mama, ledwo już tłumiąc śmiech, z trudem zachowywała powagę, odpruła podszewkę na dole płaszcza, odpruła gobelin, wzięła w obie ręce i pokazała wszystkim. Rozległ się dwujęzyczny krzyk zachwytu taki, że po prostu się z innych pomieszczeń zlecieli pracownicy, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. I: „o jakie piękne”, „o splendid magnificent”, „oh, jakie piękne, to Pani to sama zrobiła igłą? Ale jak to, bez warsztatu igłą? Niemożliwe! Incredible. Wow! Wow!”. No więc jak już wrzawa ucichła, to mama wyjęła, jeszcze miała w płaszczu, z przodu płaszcz wszyty list, który napisałam do Pana Prezydenta elegancką angielszczyzną, z podziękowaniem za wsparcie Polski w tym trudnym momencie dziejów. No i dołączyła ten list do gobelinu i wymaszzerowała z ambasady prosto do pociągu. Kilka dni później łomot do drzwi, taki dość zdecydowany. Wiadomo, w tym czasie odgłos był to nieprzyjemny. No, ale podchodzę, otwieram. Goniec

z Konsulatu przyniósł list z ambasady z Warszawy z podziękowaniem za prezent dla Prezydenta. No to myślałyśmy, że na tym się sprawa zakończyła. Trzy miesiące później znowu łomot do drzwi. Znowu swój, swój z Konsulatu. I przynosi grubą księgę i kopertę. Księga to był taki ładny album o Stanach Zjednoczonych. Natomiast w kopercie, z koperty wyjęłyśmy list Prezydenta Reagana do mojej mamy z odręcznym podpisem, z przepięknym podziękowaniem za tak piękny dar i zapewnieniem o przyjaźni polsko – amerykańskiej. Muszę powiedzieć, że stałyśmy jak skamieniały. Usiadłyśmy, bo nam się nogi ugięły z wrażenia i długą chwilę patrzyliśmy zupełnie oszołomione. A potem z piskiem polecałam po sąsiadów, do tej sąsiadki, która z mamą jeździła i jej syna, który zrobił szkic gobelinu. Zawołałam ich, żeby przyszli patrzeć. Po prostu radość i satysfakcja nas roznosiły. Tym bardziej, że to było zupełnie niespodziewane. Uznałyśmy, że ambasada podziękowała i to koniec. I potem przez kilka tygodni krewni nasi i zaufani znajomi szli do nas jak w pielgrzymce. I tak ogromnie wzruszeni, przejęci, z drżącymi rękami brali list do rąk, ten list Prezydenta Stanów Zjednoczonych. W piątym, szóstym miesiącu stanu wojennego. Po prostu coś nieprawdopodobnego. Ten list, który przebił się przez żelazną kurtynę, przeleciał przez te wszystkie podsłuchy. Jak promień nadziei, przeleciał nad kratami więzień, nad armatkami wodnymi, nad pałkami, nad gazem, nad czołgami. Przeleciał i mamy go w rękach. List Prezydenta Stanów Zjednoczonych. „Polacy nie jesteście sami”. Nikt, kto nie przeżył komuny, nie zrozumie tego, co myśmy wtedy czuli. A potem, jak już to pierwsze wzruszenie przemijało, no to ludzie żartowali: „no, taka skromna emerytka, a tu sobie koresponduje z Prezydentem Stanów. To niesamowite. A niektórzy żartowali, że mama jest jak ta babcia z kawału Jana Pietrzaka. Babcia na balkonie, w skrzynkach podlewa kwiatki oliwą. Wnuczek woła: „babciu, co Ty robisz? Przecież te kwiatki zgniją!”. „Co tam kwiatki! Ważne, żeby karabin nie zardzewiał”. I właśnie nazywali mamę tą babcią, co pilnuje, żeby karabin nie zardzewiał. Potem po latach, to było w 1984 roku, we wrześniu, 9 września. Prezydent Reagan, który się wtedy starał o reelekcję, pojechał do Pensylwanii, do amerykańskiej Częstochowy w Doylestown i tam przekazał ten gobelin, już pięknie oprawiony w ramę ze szkłem. Przekazał do amerykańskiej Częstochowy, opowiadając właśnie tę historię, że w stanie wojennym pewna Bravewoman przekazała przez ambasadę ten dar dla niego. Nie powiedział, że to dla niego, a że to jest jako podziękowanie całemu narodowi amerykańskiemu i tej przyjaźni polsko-amerykańskiej. Tak to przedstawił. I ja po latach, kiedy już napisałam tę relację, zaczęłam szukać w internecie. I jest tam całe przemówienie Reagana w Doylestown, łącznie właśnie z tym, jak mówi o mojej mamie. I widać z boku gobelin na sztalugach stojący, oprawiony. Także wrażenie niesamowite zupełnie. A list prezydenta mama po latach przekazała do jedyne go archiwum, do którego wtedy miała zaufanie, bo IPN-u jeszcze nie było, czyli do Kurii Krakowskiej. Tu jest list Prezydenta Reagana. Dodam jeszcze tylko, że mama potem wiele robiła, jeszcze gobelinki wyszywała, do Ojca Świętego, przekazywała mu. W stanie wojennym zrobiła śliczny gobelin z szopką krakowską, kolorową, taką piękną. I do gobelinu dołączyłyśmy tekst kolędy, którą wtedy przez Wolną Europę nauczyłyśmy się: „Pociesz Jezu kraj płaczący, zasiej w sercach prawdy ziarno. Siłę swoją daj walczącym. Pobłogostaw Solidarność. Więźniom wszystkim daj wytrwałość, pieczę Miej nad rodzinami. A Słowo ciąłem się stało i mieszkało między nami”. Kolęda stanu wojennego. To Ojciec Święty dostał. To mu napisałam. I kilka innych gobelinów też przekazywała. A potem jeszcze w drugiej połowie lat 80-tych, jak jeździła do Rzymu z pielgrzymkami z parafii naszej czy innej, to szmuglowała w bagażu takie małegoformatowe katechizmy i modlitewniki, które potem przekazywano katolikom za wschodnią granicą Polski. Praktykę szmuglera już miała. Dodam jeszcze, że dożyła prawie setki, ale miała już demencję w tych ostatnich latach. Nie pamiętała w ogóle bliskich, nie rozpoznawała, nie pamiętała, kim jest, jak się nazywa. Nic nie pamiętała, tylko do samego końca powtarzała coraz słabszym głosem, że w roku 1918 Polska odzyskała niepodległość. Mama jak miała na imię? Kazimiera. Bardzo dziękuję. Karabin nie zardzewiał.